№ 50. Warszawa, dnia 28 Listopada (10 Grudnia) 1884 r. Tom XXI.—Rok XX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Książki dla młodzieży i dzieci.

Tegoroczne wydawnictwo kolendowe bardzo mało nowości młodym czytelnikom przyniosło, a szkoda, szkoda bardzo wielka, bo te wakacye zimowe, które święta Bożego Narodzenia sprowadzają za sobą, są z natury rzeczy jakgdyby przeznaczone na to, aby dziecko, które szkoła rodzinie zwraca, spotkało się tam z książką do czytania — z książką, któraby część pewną domowego wychowania stanowiła i, wybrana przez rodziców, podpierała to, ku czemu oni ze swej strony pragną myśl dziecka skierować. Jest cały świat myśli, cały świat uczuć, poza granicami właściwej nauki leżący, względem którego dziecko obojętnem i nieświadomem pozostać nie może, są pojęcia moralne, jest wreszcie wielka sprawa piękności, czystości języka: i dlatego to książka do czytania jest pewnego rodzaju pokarmem duchowym, jest pewnego rodzaju kommunią, która się dziecku od rodziców należy pod karą i winą niedbałości o niezmiernie ważny moralny interes ich dzieci.— Złe czasy—powiadają—cieżkie czasy.... ale bogdajby na stole wigilijnej uczty było mniej jednym półmiskiem, jednym przysmakiem tradycyjnym, byle tylko znajdowała się tam obok książka dobra —książka, przez którą-by się uczucie dziecka z uczuciem rodziców jak poświęcanym opłatkiem przełamało. Do grzechów naszego społecznego żywota to należy, że kolendowa książka dla dziatwy wieśniaczej, dla dziatwy małomiasteczkowego ludu, nie istnieje u nas — że filantropia nasza nie zdobyła się na takie wydawnictwo, któreby się dostawało do chat pod słomianą strzechą, do domków pod gontowym dachem; ale klassom zamożniejszym, klassom wyżej oświeconym, książek takich nie brakowało dotąd— widać przecież, że rozkupowanemi nie były, skoro wydawnicza działalność osłabła.

Trzeba przyznać, że brak nam w literaturze dla młodzieży takich żywych, barwnych, ciekawy interes budzących talentów, w jakie obfituje Anglia, ojczyzna klassycznej w tym rodzaju książki: *Robinson Cruzoe*, — jakie zdarzają się w Niemczech. Ale w ostatnich czasach spełniać się zaczęło dawno w piśmie naszem objawione życzenie przerabiania na użytek młodszych czytelników pewnych dzieł, nadających się do tego. Książka dla młodego wieku musi być pełna ruchu i życia, musi mieć koloryt bogaty, aby zająć wyobraźnią i uczucie wzruszyć — musi być pisana z talentem. Gdy tego niema, gdy talentu pisarskiego braknie, najbardziej nauczająca, z najlepszą tendencyą pisana książka jest niepedagogiczną, bo nudząc, niesmak do czytania wyrabia i ztąd szkodę taką przynosi, że lepiej już jest w takim razie tłómaczeniem się posługiwać, byle w dziecku umiłowanie książki wyrobić. Ale tu przychodzi złe innego rodzaju, złe ważne bardzo. Umysł młody, karmiony przeważnie płodami umysłowości obcej, odrywa się od żywiołu swojskiego, obojętnieje dlań, kosmopolityzuje się i nabiera pewnego obcego nagięcia uczuć i myśli, zabarwia się kolorem obcym i nie uczy się kochać rzeczy swoich. Radząc też na to, szukając wyjścia między dwoma pedagogicznemi niebezpieczeństwami, zwrócenie się do przerabiania dzieł pisanych dla starszego czytelnika przez pisarzów z talentem, uważam za najlepsze, jedynie ratujące położenie:

Praktykuje się to i gdzieindziej: najbogatsza, najlepsza, jaką znam, literatura dla młodego wieku: angielska, miewa przeróbki takie, tam dla względów innych podjęte: chcą wiek młody zapoznać z wielkimi pisarzami narodowemi, i jest tam naprzykład Shakespeare, jest Walterscott dla dzieci. My więc, ubożsi, mogliśmy dwie rzeczy złączyć: przez taką praktyczną lekcyą literatury zarazem wstrzymać powódź tłómaczeń i dać, zwłaszcza młodzieży już podrastającej, czytanie zdolne ją zająć i literackie zamiłowanie w niej wyrobić.

Z pożądanych przeróbek takich ukazała się najpierw historyczna powieść Kraszewskiego: *Krzyżacy*, przez Jadwigę Teressę na użytek małoletnich czytelników ułożona, nakładem Gebethnera i Wolffa bardzo przyzwoicie i porządnie wydana. Z kolei przyszły dwa rodzajowe arcydzieła nasze literackie, przez Jerzego Laskarysa przerobione: „Przygody Jana Chryzostoma Paska“ i „Pamiętniki Starego Szlachcica“, pierwsze w wydaniu Gebethnera i Wolffa, druga Maurycego Orgelbranda a oba ozdobione drzeworytami i chromolitografiami — rzeczy wyborne, które każdy starszy czytelnik wtedy nawet z przyjemnością przeczyta, choćby oryginały znał dobrze, a które nieznającą ich dziatwę zachwycić mogą i powinny — muszą. Sądziłam też, że pierwsze wydanie tych książek wyczerpie się natychmiast, że wyjdzie zaraz niedługo drugie, potem trzecie— że jako klassyczne w literaturze naszej pozostaną, odświeżając się dla każdego nadrastającego pokolenia, a wtedy coraz tańszemi się stając, rozpowszechniać się będą mogły tak, jakby to życzyć sobie było trzeba. Tak sądziłam, tak przypuszczałam, a biorąc w rachunek okoliczności chwili wychowawczej, byłam nawet pewną, że się tak stanie. Nie stało się jednak; okazało się, że jestem optymistką, bo widzę, że na półkach księgarskich tak *Przygody Paska*, jak *Pamiętniki Starego Szlachcica* jeszcze się w pierwszem wydaniu nierozkupione znajdują. Szkoda! szkoda i żal mi wielki — nie tego już, że dzieci dobrej rzeczy nie czytają, ale że rodzice tak mało myślą, tak mało czuwają tam, gdzie potrzeba.

Wojcickiego *Pokój dziadunia* także na drugie wydanie zasługuje, zwłaszcza, gdyby wyszło pod redakcyą kogoś, któryby pewne braki, pewne nie-

dokładności w opowiadaniu *Dziadunia* sprostował. Ramy, w które jest ono ujęte, są prześliczne i takie nasze, jak dziś mało kto namalować już by potrafił. Jest tam rzecz nieopłacenie cenna: jest to, o czem w ostatnim numerze *Biesiady* ślicznii tki wierszyk napisany został: woń swojska. „Czem to pachnie? kwiatem, sianem“... — „Moim krajem ukochanym, tak pachnie“...

Upadło także świetne wydawnictwo *Klechd* Wojcickiego, ale tu wina nie leży po stronie czytającej publiczności. Pierwsza klechda: *Pan Twardowski*, wyszła bardzo dobrze; pysznie był uchwycony nasz rodzimy humor i patrząc, jak pan Twardowski na rynku krakowskim przekupkom garnki tłucze, trzeba się było śmiać koniecznie wesołym, zdrowym, dobrym śmiechem. Ale drugi z kolei zeszyt: *Nędza z Biedą*, przedstawił się zgoła inaczej. Przedmiot nie nadawał się do humoreski i stworzyła się też w sposób najmocniej niepedagogiczny satyra przeszłości w karykaturze: wstrętna orgia pijacka w najdosadniejszych rysach. Trzeba było tylko brwi zmarszczyć i książkę na bok odsunąć. Najzupełniejsza słuszność była też po stronie publiczności, jeżeli ten zeszyt drugi tak mało pokupu znalazł, że wydawnictwo upadło.

Ale niemniej jest to strata dobrego pomysłu: dobrego zamiaru, i należało by *Klechdom* odżyć, zastępując te cudze baśni, które—jak dla nas—nie posiadają tej werwy, tego przywabiącego, sympatycznego pociągu tak w humorze, jak w patosie swoim. Treść Klechd do bardzo świetnych illustracyi wątek nastręcza i znajdował się on w *Nędzy z Biedą*, tylko użytym nie został: zapasy gry rycerskie, o jakich tam mowa, mogły były wydać pyszny, i zwłaszcza dla chłopców, niezmiernie zajmujący obrazek.

W tym roku nowości mało i jak dotąd spotyka się jednę tylko rzecz oryginalną z bardzo pięknym tytułem: *W imię prawdy i dobra*, przez J. Kamocką. Autorka jest publiczności znaną, jest zasłużoną przez pracę praktyczną na polu pedagogii naszej, i zaznacza się to zaraz w przedmowie, gdzie pisze: „Celem życia mego jest pomaganie matkom, aby was, dzieci moje, pochrześcijańsku, poobywatelsku wychowywać i kształcić“ (mogły). Pedagogiczne stanowisko swoje określa p Kamocka zaraz poniżej, dodając: „Przedewszystkiem uczyłam was zawsze znać, miłować Boga i to, co wam znanem, i jak własne życie drogiem być winno“ a szlachetne, poczciwe to pragnień i wychowawczych swych celów wyznanie już staje się rękojmią, że książka ma najlepszą, najzacniejszą tendencyą. Jest to zbiór krótkich powiastek, obrazków, z których szczególniej ładne i miłe, najszlachetniej nauczające są: „Najwyższy zaszczyt człowieka“, „Czem być najlepiej“, „Największa przyjemność“, „Dowód prawdziwego uczucia.“ *Najwyższy zaszczyt człowieka* wykazuje autorka dziecku, które zazdrości bezobowiązkowej swobody tworom na łonie natury żyjącym, nakazując mu rozumnem okiem w przyrodę spojrzeć a wtedy, powiada: „Pozazdrościsz ptaszkowi, nie tego, że lata, lecz, że latając, zapewnia byt sobie i małej rodzinie swojej; pozazdrościsz pszczółce, nie, że w słońcu buja, lecz, że bujące nietylko sobie, lecz Bogu i ludziom służy pracą gorliwą; pozazdrościsz mrówce, nie, że swobodnie po lesie chodzi, lecz, że chodzi, aby po zdziebełku malenieczkiem znosząc, przyczynić się do stawiania wielkiej publicznego dobra budowy, wspólnemi siłami wznoszonej“.

Dalszą myśl swoję o pracy przedstawia autorka w powiastce drugiej: „Czem być najlepiej“ i tu przez usta nauczycielki młodemu gronu dziewcząt powiada: „Zrozumiejcie to, że nie miejsce na jakiem kiedyś staniecie, nie rodzaj pracy, jaka na każdą z was przypadnie, ale to, czem która na miejscu owem przez serce swe, pojęcie i spełnianie obowiązków się stanie; stanowić będzie o jej szczęściu, spokoju, jej wartości moralnej. I w miarę tej wartości, czy która będzie gosposią przy kurach, czy ogrodniczką przy kwiatach, nauczycielką ciężko pracującą, matką rodziny w małym domeczku, wielką panią w pałacu, ludzie czcić i szanować was będą.“

„Dowód prawdziwego uczucia“ to bardzo ładnie napisana, a bardzo głęboka nauka. Miłość prawdziwa to nie własnego serca zadowolenie, lecz dla ukochań swoich z tych zadowoleń ofiara: to poświęcenie siebie na korzyść tego, co nam jest drogie. — Inaczej to sentymentalizm, albo egoizm w uczucie wmieszczony. „Najwyższa przyjemność“ jest podobnie wielką lekcyą życia, daną przez wskazanie drogi, na której należy jedynie szczęścia i słodkich jego wrażeń szukać. Nie przez samolubne użycie osięgnąć się to daje, bo wszystko, co jest użyciem takiem, powszednieje i nuży w końcu, a nigdy nie wyschniętem i jedynie prawdziwem źródło szczęścia jest to, które nam z serca gorącym zdrojem uczucia bije.

Jest przecież w tej dobrej książce błąd jeden i ważny, który przecież, jak z pewnością największą utrzymywać można, zakradł się tu jakimś przypadkiem czy omyłki drukarskiej, czy korekty wadliwej, a stanowi go zwrot silnie cudzoziemski. Spotykamy go zaraz na wstępie powiastki: *Pierwsza jałmużna*, w takiej formie językowej: „dziewczynka wychowana nietylko naukami, ale przykładem cnót prawdziwych.“ Taki rząd w zdaniu nie mógł wyjść zpod pióra uczennicy Jachowicza; że przytem książka cała jest napisana językiem najzupełniej czystym, omyłka to, którą notuję ze względu na młodych czytelników, aby wiedzieli, że to błąd jest i wielki.

Książka p. Kamockiej wyszła nakładem Gebethnera i Wolffa.

Trzy inne nakładem tejże księgarni wyszłe książki nowe, są przekładami, lub opracowaniami z angielskiego. Że tłumaczką jest tu p. M. J. Zalewska, nie trzeba już dodawać, że rzecz umiejętnie dobrana, zajmująca i dobrym językiem spolszczona. *Mieszkaniec puszczy* jest to opracowanie bardzo dramatycznej, pełnej zajęcia, powieści znakomitego amerykańskiego pisarza, Coopera: *Ostatni Mohikan*. „Dolina bez wyjścia, przygody podróżników w górach Himalaya“ jest tłómaczona, także z bardzo dobrego angielskiego pisarza dla młodzieży, kapitana Meine Reid, i stanowi zawsze zajmujące naśladownictwo nieśmiertelnego Robinsona. „Z pałacu i chat“ są to trzy powieści, napisane według angielskiego oryginału i czytające się z zajęciem, lecz ostatnia z nich ma ważność odrębną przez przedmiot swój i zagadnienie moralne, które porusza. Tytuł jej: *Bohater*, i zadanie etyczne polega też na wykazaniu młodzieży, na czem się rzeczywiste bohaterstwo zasadza, co jest jego treścią i jądrem duchowem. Że to jest kwestya bardzo znacząca dla szlachetnie wychowywanej i szlachetnemi zasadami przejętej młodości, zrozumie każdy: dla tego też powiastka zasługuje na rozpatrzenie bliższe. Opowiadanie to jest wuja siostrzeńcom o przygodach młodości swojej. Chłopiec chowany przez matkę, chłopiec, który pod portretem nieznanego nigdy ojca wyczytał takie słowa: „Kapitan Karven zginął śmiercią bohaterską“ pragnie ujrzeć choć raz żywego bohatera, aby zrozumieć, jaka to jest owa cnota męzka, która bohaterów tworzy? Już „przewertował“ życiorysy Plutarcha, zapoznał się z postaciami Epaminondasa, Arystydesa, Alcybiada; ma już pojęcie pewne, że bohaterstwo to dokonanie rzeczy wielkiej, ale zmącone to jest jeszcze i niepewne, zwłaszcza, że usłyszał raz matkę mówiącą o jednym z jego braci stryjecznych: To bohater!... Co on uczynił, aby na taką dostojną nazwę zasłużyć? pyta się bardzo słusznie mały Filipek i gdy wkrótce matka posyła go do stryja, aby pod jego kierunkiem razem z braćmi stryjecznemi nauki pobierał, ciekawość jego zaostrza się i prawie w niespokojność przechodzi, bo nie dopowiedziano mu imienia „bohatera“ a on ma spotkać się tam z dwoma starszemi od siebie młodzieńcami, z których jednego musi za bohatera uznać, bohaterstwa jego sam się doszukać potrzebując. Starszy, Norman, który zatem już ze względu na wiek mógłby najprędzej bohaterskość przedstawiać, jest przecież fizycznie niedość rozwinięty, aby według wyobrażenia Filipa mógł wielkiego czynu dokonać, gdy tymczasem młodszy wysoki i silniej zbudowany, jest buńczuczniejszy, ognistszy od niego, i nawet nosi imię wspaniałe, bo zwie się Hektor. Filip sam, jest z natury bojaźliwy i łagodny, niemniej bohaterskość przedstawia mu się pod postacią dziarskiej śmiałości, którą brat jego Hektor lepiej nazewnątrz objawiał od spokojnego, rozważnego, cichego Normana. Ten jednak mimo to na bohatera w oczach mu następnie wyrasta przez odwagę cywilną, która „chodzi w parze z rozwagą“, przez panowanie nad sobą i wadami charakteru swego, przez zdolność cichego poświęcenia swojej zasłużonej ambicyi na korzyść młodszego brata, przez łagodność w obejściu ze wszystkimi. Że to są składowe części tego wysokiego stanu ducha, który bohaterstwo stanowi, że to jest grunt, którego koniecznie prawdziwemu bohaterstwu potrzeba—to rzecz niewątpliwa, i morał wywijający się z różnych drobnych przygód Filipa Karven i jego braci stryjecznych jest bardzo dobrą lekcyą moralności, dla żywej, ambitnej młodzieży, która bardzo często junakeryą z męztwem i odwagą jednocząc, fałszywy cnót tych pozór za prawdę bierze. Ale z drugiej strony bohater wuja Filipa nie ma danej sobie nigdy sposobności do ujawnienia tych wysokich przymiotów ducha, które stanowią bohaterstwo we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Nigdy nie wybucha mu z piersi gorący płomień zapału, nigdy nie staje jako wspaniałomyślny obrońca uciśnionej cnoty, nigdy o to ze złym nie walczy, przy dobrej stronie dumnie nie stoi, piersią swoją jej nie zasłania i nie poświęca się dla niej. Powiastka ta nawet jest dla tych braków szkodliwa, bo pojęcie najwyższości w naturze ludzkiej niepełno, więc w obniżeniu przedstawia. Nie dziwię się wcale temu, co wuj Filip według swego o bohaterstwie pojęcia w przedmowie powiada, że „od kiedy świat światem, nie mogli ludzie tej nazwy (bohaterskość) dobrze zrozumieć“. Mnie się zdaje przecież, że to on jej raczej nie rozumiał czyli zrozumiał ją w zmniejszeniu ogromnem, i dlatego z ludźmi od początku świata i historyi w sprzeczności stąnął.

Filip dowiedział się w końcu, że jego *bohater*, bohaterem został w czwartym roku życia, a to, że młodszego braciszka, który wpadł do kadzi w wodę, mocno za sukienkę trzymał, notabene, stojąc sam na ziemi. Zimna krew wobec niebezpieczeństwa i energia w objęciu dowództwa na statku, którym się raz w ciągu wypadków powieści wraz z młodą swą rodziną nieostrożnie na morze puścił, to jedyny rys, który się nieco do bohaterstwa zbliża.

Norman Mac Ilroy, jest to bardzo rozsądny, dobry, a nawet szlachetny chłopiec, który brata bardzo kocha i nagrody szkolnej się wyrzeka, aby jemu dostać się mogła, ale to bynajmniej jeszcze nie bohater; powiastka jest, mimo swych zalet innych, ztąd szkodliwą że usiłuje te wszystkie cnoty niższego rzędu stawiać przeciw cnotom wielkich porywów, wielkich uniesień ducha. Jest tam z pewnem lekceważeniem przytoczone nazwisko nieśmiertelnego dla Szkocyi człowieka, Wiliama Wallasa, a na dowód, co to jest bohaterstwo, znajduje się jedyny fakt historyczny, wzięty przecież z wojen domowych, w którym ten, który mógł wziąć pomstę za przeszłość, wstrzymuje się od niej i dobrem za złe płaci. Piękna cnota, chrześcijańska cnota, dowodząca panowania nad namiętnościami swemi, ale wuj Filip, dzieckiem będąc, miał instynktownie lepsze bohaterskości pojęcie, gdy nie szukał jej wśród kłótni Lamotów z Campbellami, ale myśl młodą zwracał ku wielkim i prawdziwym, ku cnotliwym i dzielnym bohaterom takim, którzy umieli się w potrzebie poświęcić dla wielkiej idei greckiej swej ojczyzny.

(Dokończenie nastąpi).

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dokończenie).

Są duchy trzecie. Te na progu poznania siebie czując w sobie jakąś moc, (a każda moc pragnie twórczości) idą też naprzód; życie będzie działać na nie silnie i gorąco, będą mieć pragnienie ideału, pragnienie niczem nieprzygaszone;

za tłumem wracającym od progu *jestem* nie pójdą, bo dla nich *jestem*—to nie jest tylko *być*, ale i będę. Za geniuszem i talentem iść nie są zdolni tam, brak im tchu; podnoszenie ich się ku górze, to rwanie się w wyższe regiony, będzie tylko czystem, szlachetnem podnoszeniem się, ale droga do szczytów nie będzie twórczością w sztukach pięknych. Żadnego posągu nie pozostawią za sobą, żadnego obrazu, żadnego dźwięku ni śpiewu, ale sam fakt rwania się ku górze będzie miał w sobie i trwałość marmuru i koloryt cech ich osobistych—tyle melodyi i poetyczności, że ludzkość nic im nie będzie miała do zarzucenia. Na żadnej drodze sztuki nie znajdą zadowolenia, bo, czując piękność prawdziwą, spostrzegą prędko niemoc swą w wykonaniu arcydzieła, a zbyt dużo mając dumy, nie zniżą się do niedoskonałości. Ale wynajdą swej sile twórczej nową sztukę piękną t. j. samo życie człowieka na ziemi. W granit każdego dnia kuć będą młotem czynu i w końcu dobiją się ideału—widzialnego. O, rozkoszy mistrza—ideał widzialny! „Posągom ich myśli“ nie „zabraknie ciała!“ Powołanie to jednak będzie strasznie trudne. Tu nie ma natchnienia, nie ma mocy. Tu jest wola i sumienie, ten anioł życia! Ich ideą będzie najczystszy typ człowieka wobec Boga, ludzkości i natury, a mistrzem tej szkoły—przeszłość, a charakterystyką—osobistość idącego tą drogą ducha. I to już wszystko. Długi jest szereg stopni takich ludzi i wielka rozmaitość ich wzniosłości: od człowieka, o którym świat nie wie, a który jest wielkim siebie zwycięzcą i walczy jak prosty żołnierz przeciw namiętnościom swoim, aż do bohatera prowadzącego ster wypadków świata. Różne są tam walki, zdobycze, tryumfy, i nie zawsze głośniejszy z tych duchów jest większym artystą życia. Nie znamy tysięcy tych codziennych pracowników, co spełniają wielkie i ciche rzeczy w ukryciu, ale słyszeliśmy o innych w historyi życia Ludzkości. Do nich należą: Leonidas, ten kapłan zapału, Juliusz Cezar ten rzeźbiarz dumy, Joanna d'Arc, bohaterka natchnienia, Krzysztof Kolumb, budowniczy nowego świata, Benjamin Franklin, ten kowal rozsądku, Kościuszko, ten muzyk cnoty, Napoleon, ten poeta czynu!

W bycie powszednim są to ludzie pragnący piękności i celu w świecie, w życiu, w ludziach, w sobie, i walczący o nią ze światem, z życiem, z ludźmi, a najbardziej z samymi sobą.

Takim ludziom często się zdarza, że w wiosennej dobie życia mają czas jakiś moc twórczą w którejkolwiek ze sztuk pięknych. Dusza każda, nim wyda właściwe z siebie owoce, pierwej kwitnie, ma kielich pełen woni, a nad nim koronę marzeń; kwiaty są poezyą rośliny. Kiedy duch się rozbudzi, przed pracą pragnie—kwitnienia; chce się własną upoić wonią. Nie jest to wcale stratą czasu, i tu się wyrabia samodzielność; kto nigdy nie marzył zamłodu, czyż potrafi działać w późniejszym wieku? Zapał w marzeniach szlachetnych jest później wytrwałością w walce. A gdzież są owoce bez kwiatów?

Paproć nie ma kwiatu; uważają ją też za akąś fikcyjną, nienormalną roślinę, a jeśli inni i mówią, że ma, to jakiż jej owoc? Im kwiat piękniejszy, wonniejszy, tem i owoc słodszy. Gałązka pomarańczowego kwiatu zdobiła skroń szczęśliwej oblubienicy idącej w rozmarzeniu do ślubu; orzeźwiający jego owoc, w złotej zasłonie, zwilżał usta biednego, opuszczonego nędzarza, którego na pustyni opatrywał miłosierny Samarytanin.

Młodości—kwitnij!

Ten stan wiosenny ma pewną twórczość. Tak jak człowiek po przebudzeniu się rannem, czuje się silnym, a potem powolniej idzie w ciągu dnia, niż myślał—tak i duch obudzony wybucha mocą chwilową nazewnątrz zwróconą, a potem ją traci, i wszystko odbywa się już dalej w głębokościach serca. Zostaje jednak zawsze pragnienie tworzącej nazewnątrz siły, i właśnie to pragnienie będzie cechą wyższości tych trzecich duchów. Przeszedłszy krainę marzenia, zaczerpnąwszy w niej wiary i nadziei, nie zwątpiwszy, gdy ją trzeba było opuścić, z nieulęknioną odwagą wstąpiwszy na scenę życia, kładąc czyny tam, gdzie pierwej bujały kwiaty—oto człowiek!

A teraz, gdzie ja jestem?

Aha, jestem w trybunale prawdy i sądzą mnie; sprawiedliwość przemawia za mną i broni mnie. Smutno mi czegoś. Widzę jasno, do czego prawda dąży.

— Nie jesteś geniuszem?

— Nie.

— Nie jesteś talentem?

— Nie.

— Więc bądź wyższym duchem, bądź człowiekiem!

Z progu *jestem* jam się nie zawrócił: poszedłem dalej; teraz iść nie mogę—ale to tylko chwila przerwy; trzeba się pożegnać z przeszłością i iść znowu dalej. Próg marzeń, wchodząc w ich świat, przelatuje się lekko i szybko, ale kiedy wyjść z niego trzeba, stajemy i trudno nam zdobyć się na krok jeden. Któżby z żalem nie opuszczał raju?

Więc ja nie byłem poetą, tylko miałem epokę życia poetyczną? Muszę to zbadać.

Poezya moja zakwitnęła, obudziłem się i siła moja duchowa kazała mi pisać. Pisałem. Może to był tylko moment rozwinięcia się mego ducha, który, przeznaczony do czynu, w pierwszej chwili działania—wybuchnął poezyą? Reflexyjny, badawczy, niespokojny prawie w swoich poszukiwaniach, duch mój, poczuwszy się, że jest, pragnął koniecznie, nieodwołalnie być dalej na drodze podniosłych porywów. Byłem młody, pełen zapału; skończywszy studya filozoficzne, rzuciłem się z rozkoszą w objęcia natury, aby marzyć i rozmyślać. Po krótkim czasie zostałem poetą. Ta mysl takiem mnie przejmowała szczęściem, że ani przypuszczałem, iż się to kiedyś skończyć może!

Dlatego, że poezya ta moja wyrosła w chwili najdogodniejszej, najbardziej sprzyjającej rozwojowi, t. j. między dokonanem ukształceniem naukowem a życiem czynów poważnych, napełniając tę przestrzeń, która każdemu daną jest do marzeń,—dlatego objawiła się liryką. Poezya wogóle ma tę wspólność z Albigensami, że dopiero, doszedłszy do pełnoletności, bierze chrzest. Obudzona, wychowana, przyprowadzona do samowiedzy, do przekonania, że jest, a jeszcze nie wypowiadająca się, potrzebuje koniecznie czegoś, coby jej powiedziało: stań się! żyj! bądź widzialną! Tym rozkazującym tonem jest—ból moralny. Poezya chrzci się krwią lub łzami. Krwią nieszczęścia ochrzczeni poeci są tragikami lub tak dramatycznymi lirykami, jak Byron. Łzy są chrztem liryki. Bez bólu niema poezyi. On jest jej początkiem, źródłem siły, potęgi, duszą jej duszy; Niemcy-by to nazwali: „das Absolute der Poesie.“ A ból, im silniejszy, prawdziwszy, głębszy, ogólniej światowy, ludzki—tem dla poezyi lepiej.

Wszyscy poeci przechodzili przez tęczową fazę liryki, ale wielcy poszli daleko, mniejsi o parę kroków tylko, innym ona błysnęła u wstępu życia i wstąpiła napowrót do głębi duszy tam żyć niewidzialnie. Jej chrzestną sukienką jest mgła tęsknoty, kumami róże i słowiki, imieniem chrzestnem: *ja*, i tak wprowadzona do marzeń kościoła—liryka staje się jednym z tego kościoła filarów.

Ale przychodzi chwila, gdy całego sklepienia myśli nie może utrzymać jedna liryczna kolumna. Wielcy poeci umieją sobie radzić, lecz człowiek, któremu poezya była tylko wyrazem pewnej epoki życia, buduje dalej życie wewnętrzne—czynami. Tu koniec mojego badania.

Duch mój nie przestanie nigdy rwać się na wyżynę największych celów, ale już nie będzie się tam podnosił na skrzydłach poezyi. Twórczość zmieniła swój przedmiot.

„Dość już długo, dość już długo,
„Brzmiał na strunach wieszczów żal!
„Czas uderzyć w strunę drugą —
W czynów stal!

O, mój Boże, do czego mnie powołałeś?

Patrzę teraz naprzód przed siebie i widzę w przyszłem życiu na ziemi różne rzeczy, które się będą stać musiały. Przeszłość moja wzmocniła mi duszę i czuję moc w sobie oparcia się ułudom niegodnym wyższego ducha; ale pierwsze kroki stawiam, oglądając się poza siebie i szukając rady. „Idź“—mówi mi przeszłość—„Idź dalej.“

Czy to nie jest błogosławieństwem mieć jednę epokę życia skrystalizowaną w poezyi wiecznotrwałym dyamencie?

Tak.

Dawniej myślałem: powietrze, ogień, woda i poezya—i to było moje wyobrażenie o żywiołach. Dziś zamiast tej ostatniej mówię sobie: dobra wola. Ludzie mi się czasem dziwią, że chodzę smutny. I cóż to dziwnego, kiedy z białej draperyi przebrać się musiałem w mundur, w jakim chodzą całe poruszające się wkoło mnie miliony. Ale to było koniecznem. Bóg przebacza smutek nasz po odjęciu dawnego daru. Dziś za młody jeszcze jestem, abym dotykalną rzeczywistość uwielbił nad wszystko, ale gdy ona zacznie być piękną—piękną przezemnie, zacznę ją kochać.

O, szczęśliwy Tyrteuszu, na polu czynów dziejowych danem ci było pieśnią stworzyć wielką chwilę zwycięztwa! Wtedy poezya była czynem! Świetne widowisko, godne greckiej areny.

Czy to nie jest szczęściem mieć lat kilka zamkniętych w poezyi?

Tak.

Widzę białego anioła, odlatującego na ostatnią linią horyzontu. Smuga blado-zielona drży mu pod stopami, a on w uścisku dwóch skrzydeł swoich trzyma i unosi najpierwsze lata mej młodości, którym było na imię „Poezya.“

To jest anioł życia. On jutro o wschodzie słońca znów mi się pokaże i powie swym stanowczym głosem—jestem! Pójdę za nim. Lecz tymczasem w cieniach nocy „któż mi da skrzydeł gołębicy, abym latał i odpoczywał?“

Czasem zdaje mi się, że jestem niewdzięcznym względem przeszłości, oskarżam ją, że jej już niema, a nie dziękuję, że była. Czy był kto taki na ziemi spokojny, żeby sobie nie miał do wyrzucenia jakiegoś niedoskonałego poruszenia ducha? Ale czyż mogę siebie niedoskonałością drugich usprawiedliwiać, ja co tyle miałem sposobności podniesienia siebie?

Czy nadchodzi dla mnie pora rozmyślań i badania? Może być. Wchodzę do kopalni, w której jeszcze ciemno. Nie będę tu zbierał fiołków i przypinał ich do piersi; zamiast pęku kwiatów mam w ręku młot do torowania sobie drogi, wśród łomów kruszcu. Nie będę tu sam; wszak każda kopalnia musi mieć swego opiekuńczego geniusza; gdy nad kopalnią myśli bujały świetne kwiaty na powierzchni, musi ona w swej głębi mieścić skarb ukryty dla wytrwałego robotnika. Idę szukać skarbów. Czy znajdę? Droga moja nie będzie stracona; kiedy mnie gruz zasypie, śladem mojego kilofa pójdzie drugi i może za pierwszą odwaloną płytą znajdzie żyłę rodzimego złota. Droga moja będzie miała zasługę kierunku.—Naprzód!

Październik.

Jestem już robotnikiem. Tajemnicze miny ludzkiego ducha otwierają przedemną swój nieskończony libirynt. Pracuję. Robota codzienna, regularna, daje spokój i broni od szkodliwej tęsknoty. Na każdym kroku w tej kopalni życia widzę, że wszystko ma swoję racyą i, jeżeli jest, to miało powód nieodwołalny bytu. Idę, i spokój mnie ogarnia, i niczego mi nie żal, co się w życiu stało i jak się stało. A jednak czasem myślę sobie, jak dobrze było mi bujać tam na wierzchu, po łąkach i gajach, jak dobrze mi było, gdy jeszcze byłem poetą! Wtedy łza stacza się po licu i błyszczy chwilę przy świetle kagańca, i wpada w żwir poruszonej ziemi. Ja ocieram moj kilof, aby nie rdzewiało od westchnień moich zaczęcie pracy i czynu; a w głębi mej duszy poezya moja uśmiecha się i mówi:—„Pracuj i szukaj sobie drogi sam; lecz może pod koniec ja cię, jak Aryadna, z labiryntu życia wyprowadzę, ja, com ci żyć tak, jak żyjesz—kazała!“

O, nadziejo! pokaż i mnie, że jesteś pierwiastkiem nieśmiertelności w duchu człowieka!

Szczęsna.

GŁUPIA DZIEWCZYNA

NOWELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dalszy ciąg).

VI.

Antosia zajmowała się z takiem zamiłowaniem gospodarstwem i kuchnią, że gdyby jej bardzo chętnie nie oddała była matka tego wydziału, byłaby niepocieszoną — niepocieszoną zaś dlatego, że uważała się za istotę nieskończenie niższą pod każdym względem od istot podobnych, w jej płci i wieku będących: za nic przeto w świecie nie zgodziłaby się na próżnowanie, na ciężenie bezpożyteczne na skromnym budżecie matki. Natura obdarzyła ją kilkoma wrodzonemi przymiotami jako to: prawością, poczuciem sprawiedliwości i trafnym instynktem, rozstrzygającym zawiłe nieraz i trudne sprawy poprostu. Powiedziała sobie, jeszcze małą dziewczynką będąc, że jest brzydką, niezgrabną i głupią—w czem głównie utwierdziły ją jednomyślne a częste wyroki matki i siostry; nie zgorzkniała jednak ani nie nabrała przekory, ale, przeciwnie, ukorzyła się przed koniecznością.

Tembardziej więc chciała się przydać na cóś.

A na cóż się mogła przydać, jeżeli nie na wyręczanie niezbyt zdrowej matki i rozpieszczonej, wydelikaconej siostry, w krzątaniu się około kuchni, w skupywaniu żywności na targu, w robieniu porządku w domku i w ogrodzie? I ani się spostrzegła, jak ta konieczność stała się dla niej zamiłowaniem.

Codzień raniutko wychodziła ze służącą na targ na zakupy, poczem, wysławszy służącą naprzód do domu, zatrzymywała się przed ołtarzem kościołka Ś-tej Barbary, zanosiła gorące westchnienie do Boga i wróciwszy czekała ze śniadaniem na siostrę, która zazwyczaj o tym czasie dopiero ze snu się budziła. Gdy się zaś doczekać nie mogła, biegła do swego pokoiku, wyjmowała kajecik dobrze już zapełniony i pisała w nim, dopóki jej kto nie zeszedł. Naturalnie był to jej dziennik, dziennik młodej panienki, która zwierza się dlatego sama przed sobą, że nikt inny zwierzeń jej nie był ciekawy i dlatego, że ona przed każdym wstydziłaby się mówić tak szczerze. Wstydziła się zaś tak dalece, że gdy wychodziła na miasto, z obawy, ażeby kto dzienniczka jej nie znalazł, zabierała go ze sobą.

Pewnego dnia tak samo, a było to już po zerwaniu z professorem, wybrała się raniutko na targ, poczem swoim zwyczajem stanęła przed ołtarzem kościoła Ś-tej Barbary i z wielkiem wzniesieniem duszy ku Bogu, poczęła się modlić. Dola rodziny niepokoiła ją zawsze i bolała, a teraz, gdy po raz trzeci Aniela zawiedzioną została w nadziejach, zdawało się jej, że srogie nieszczęście zawisło nad całą rodziną. Odczuwała zmartwienie matki i siostry, głębiej może, aniżeli one same. Więc też teraz oczami załzawionemi i zwróconemi na krzyż Zbawiciela, błaga łaski i odmiany. Nagle, jakby sobie coś przypomniała, wyjąwszy książkę do nabożeństwa z zanadrza, wyjęła osobno na kartce pisaną modlitwę i przeczytała półgłosem z wielką ufnością. Była to modlitwa „dla smutnych i zgnębionych.“ Przeczytawszy i nie oglądając się za siebie, pobiegła żywo ku domowi, ani się nie domyślając, że przez cały czas stał za nią ktoś, a teraz gdy tak szybko zniknęła mu z oczu, ten ktoś podniósł papier, który wypadł jej z książki, i stał z tym papierem w ręku, nie wiedząc czy pogonić za nią, co byłoby już daremnem, czy schować papier, nie czytając. Tym ktosiem był mężczyzna 30-letni, krępy blondyn, ogorzały na twarzy, z dużą brodą i wąsami, w czarnej czamarze, która doskonale przystawała do jego muskularnej postaci, niepozbawionej zgrabności i giętkości.

Zdecydowawszy się schować papier do kieszeni, podbiegł kilkadziesiąt kroków w stronę Antosi, ale, nie dostrzegłszy jej już wcale, machnął ręką z rezygnacyą i poszedł zamyślony do hotelu w głównym Rynku, w którym zwykle stawał, ilekroć do Krakowa przyjeżdżał. A przyjeżdżał często, gdyż, będąc posiadaczem młyna parowego pod Krakowem, miewał w mieście ciągłe interessa. Wychodząc też raniuteńko z domu, spotkał pewnego razu Antosię przed owym ołtarzem. Zajęty mimowoli chciał koniecznie przypatrzeć się jej twarzy, a gdy ją ujrzał, chciał tembardziej dowiedzieć się, co ona za jedna? Ztąd wypływa, oczywiście, że chyba Antosia nie była tak brzydką, jak o sobie myślała.

Przez kilka dni czatując na nią o jednej i tej samej godzinie, przypatrzył się jeszcze lepiej; nie mając jednak odwagi jej zaczepić, co sam uważał za nieprzyzwoitość, próbował przekonać się gdzie mieszka. Nigdy wszakże nie udał mu się ten zamysł wobec wiatronogiej dziewczyny. Dziś dopiero, choć jeszcze nic nie wie o niej, ma już jakiś dokument w ręku.

Zaszedłszy do swego numeru, przyznajemy otwarcie, nie robił sobie wiele skrupułu i bez ceremonii położył papier przed sobą. Antosia byłaby spłonęła ze wstydu, skryła się pod ziemię, gdyby była świadkiem tego. Papierem owym był jej „dzienniczek“ o zgrozo!—a raczej kilka jego kartek, które wyleciały z całego źle zeszytego albo i wcale niezeszytego kajetu.

Bezprawny posiadacz kajetu, pan Kajetan Pokrzywski, zaledwo rzucił okiem na papier, a już rozśmiał się na cały głos. Przeczytał bowiem:

„Kokoszuchny moje rosną tak prędko, że aż mi ich żal niebożąt. Chciałabym je zatrzymać, dopóki naturalną śmiercią nie zginą, ale czy mi się to uda, czy mi wolno będzie ocalić je dla mojej sympatyi? Dwa koguty i troje kacząt, kupionych przezemnie tak tanio na Kleparzu, znają mnie już doskonale i jedzą z niej z ręki; lepiej mi jednak nie przyzwyczajać się i do nich. Anielcia dziś znowu płakała, a ja nie śmiem jej nawet pocieszać. Tym razem sama winna, że nie umiała przywiązać do siebie tak zacnego człowieka, jak pan professor. O Boże mój! poszłabym gdziekolwiek za kucharkę, gdybym jej przez to okupiła szczęście, a matce spokój! Dwie nocy już nie śpię, tylko myślę o biednej siostruni, co z nią będzie, o tym biednym professorze, który myśli, że ona zła i nie ma serca, a ona tylko rozpieszczona i nudzi się. Może napiszę do niego, ażeby przyszedł i przebaczył jej? Ah! gdybym wiedziała, że Bóg go natchnie i uwierzy moim słowom! Mama i Anielcia nie domyśliłyby się niczego i po takiej zgodzie Anielcia byłaby lepszą, a potem i najlepszą żoną. Gdybym się miała kogo poradzić! Przychodzi mi na myśl pan radca, ale on nie pokazuje się już nam na oczy, bo go wstyd, że mu się trzy razy nie udało, chociaż powoływał się na Napoleona. Gdyby Pan Bóg zlitował się nad Anielcią, pościłabym trzy razy na tydzień, nie jedząc nic, tylko suchy chleb i popijając wodą i nie poszłabym przez pół roku na planty na spacer; ale cóż, kiedy Pan Bóg moich modłów nie usłucha, bom jest tego niegodna, niczem się Mu zasłużyć nie mogę, ani Jemu, ani ludziom. Gdybym była mężczyzną, byłoby całkiem inaczej...

„Robiłabym tyle dobrego, iżby mi ludzie błogosławili. A mama biedna płacze także po kątach, bo u niej Anielcia to oczko w głowie. Że też w Anielci nie pokochają się młodzi ludzie, gdy ją widzą na ulicy: taka ładna i tak wygląda jak wielka pani. Gdzie oni też mają oczy! Anielcia powiada, że gdyby jeździła w karecie, toby się wszyscy za nią oglądali. Może to i prawda, ale nie smutnoż to, że taka piękna panna potrzebuje karety, ażeby zwrócić na siebie uwagę? Dziś przyszedł p. radca, przyszedł frontowemi drzwiami i dzwonił, bo się lękał spotkać ze mną. Czyżby znowu przyszedł zaproponować czwartego? Niechże nas Bóg broni....“

Tyle tylko było na dwóch stronnicach, bo dwie drugie były jeszcze czyste.

Pan Kajetan, uśmiechnięty ciągle, schował starannie papier do pugilaresu i niezwykle rozweselony przysiągł sobie w duchu poznać autorkę dzienniczka osobiście.

Lecz w jaki sposób? W najprostszy. Będzie na nią czatował przed obrazem tak długo, aż mu się uda do niej zbliżyć i dowiedzieć się gdzie mieszka. Istotnie, nazajutrz o zwykłej godzinie, przybiegła Antosia, szukając czegoś na kamiennych schodach i po wszystkich szczelinach. Pan Kajetan stojąc o kilka kroków za filarem naprzeciwległego kościoła N. P. Maryi, uśmiechnął się dobrodusznie, domyśliwszy się, że to zapewne chodzi o ów sławny dzienniczek.

— Nie głupim, nie głupim — mruczał do siebie — zdradzić się kiedykolwiek z tem, że czytałem twoje tajemnice. Nie przebaczyłabyś mi tego nigdy, chyba po....

Nie dokończył, bo poszedł w tej chwili ukośną linią za Antosią, na której twarzy dostrzegł pomieszanie i bladość. Zazwyczaj zaś twarzyczka jej trochę śniadawa, cieszyła się zdrowym i kraśnym rumieńcem.

Pan Kajetan, posuwając się za nią strategicznie, mówił sam do siebie:

— Biedne dziewczątko. Niedosyć jej było zmartwienia o siostrę, matkę i kokoszki, jeszcze teraz niepokoi się o zagubione najskrytsze tajemnice swego serca!

W chwili, gdy była już przy furtce swego domu, obejrzała się przypadkiem, a dostrzegłszy zmęczonego i z wytrzeszczonemi oczyma idącego za nią p. Kajetana, przystanęła mimowoli, zadziwiona. Zmiarkował się p. Kajetan i wykonał zwrot nalewo, przed obok stojącą kamienicę, której się zaczął przypatrywać z wielkiem jakoby zajęciem.

Furtka się zatrzasnęła, p. Kajetan został sam.

Rozpoczął ostrożnie badanie stróżów, daleko ciekawszych w małem aniżeli w wielkiem mieście. Niewiele się mógł dowiedzieć, dowiedział się jednak najważniejszej rzeczy, to jest nazwiska. Przypomniał sobie, że, chodząc do szkół miał niegdyś professora takiegoż nazwiska. Czyżby-to była jego córka? córka zacnego człowieka? I to już przyjemnie. Nie trudno mu było wywiedzieć się teraz bliższych szczegółów; wnet też obmyślił plan działania, a będąc energicznym i praktycznym z natury i zawodu, niezwłocznie do jego wykonania przystąpił.

Pewnego dnia o godzinie piątej wieczorem, leżała Aniela w swoim pokoju na sofie, czytając z nadzwyczajnem zajęciem *San Felice* Dumasa. Matka siedziała obok przy małym okrągłym stoliczku, ciągnąc passyans.

W przestankach zwracała mowę do córki, która jednak odpowiadała niecierpliwie, niezmiernie rozciekawiona awanturniczością Lady Hamilton.

Nagle dał się słyszeć dzwonek. Aniela zerwała się na równe nogi; matka zdziwiona zawołała: kto to być może?—Antosiu, idźno popatrz!—Antosia nie słyszała wprawdzie polecenia matki, ale sama z siebie pobiegła do furtki i odemknęła drzwi zamknięte na rygiel. Gdy ujrzała p. Kajetana, zarumieniła się jak wiśnia; poznała w nim bowiem natychmiast idącego za nią przed kilkoma dniami kawalera.

— Do kogo pan.... sobie życzy?—zapytała więcej zdziwiona, aniżeli onieśmielona.

— Wszak tu mieszka pani Bolewska, wdowa po professorze?

— Tak jest.

— Zapewne mam przyjemność mówić z jej córką?

— Tak jest—odrzekła cichszym już głosem.

— Czy nie mógłbym pomówić parę słów z szanowną mamą pani?

— Nie wiem, owszem.... tu zaczęła mieszać się na dobre, ale zawstydziwszy się w tej chwili niezwykłej swojej lękliwości, dodała:

— Proszę pana zaczekać w tym pokoju, ja pójdę uprzedzić mamę.

Pan Kajetan dał się prowadzić, postępując bardzo powolnie, dla przypatrzenia się, nie wiemy czy zgrabnej kibici Antosi, czy też jej czarnym iskrzącym się, pełnym życia oczom.

Antosia zwróciła się już ku drzwiom, gdy pan

Kajetan—posądzamy go, że polubił i głosik dźwięczny Antosi—zatrzymał ją nagle, mówiąc:

— Jeżeli, proszę pani, w czemkolwiek przeszkadzam porządkowi domowemu, zjawiając się może w niestosownej godzinie, to bardzo przepraszam i gotów jestem przyjść kiedyindziej. Proszę o odpowiedź szczerą.

— Ale bynajmniej, jesteśmy zawsze w domu.

— Bo zdawało mi się — przerwał jej znowu uparty p. Kajetan, przybliżając się ku niej—że panią oderwałem od jakiegoś zajęcia.

— Naturalnie — rozśmiała się serdecznie — bo próżnować nie lubię. Proszę więc pana....

— Wiem doskonale, że pani próżnować nie lubi i to począwszy od bardzo rannej godziny, gdyż miałem szczęście spotkać panią kilkakrotnie ze służącą, biegnącą zawsze bardzo śpiesznie do miasta.

Zaczerwieniona po same uszy Antosia rzekła jednak z pewną dumą:

— Rzeczywiście, chodzę na targ codziennie prawie.

Dostrzegłszy zaś uśmiech na ustach przybysza, dodała:

— Zapewne i pan pracować lubi, skoro równie wcześnie wychodzi na miasto.

— Przyjeżdżam tylko do miasta umyślnie dla interessów i dlatego czasu tracić nie chcę. Lecz pozwól pani, że się sam przedstawię. Nazywam się Kajetan Pokrzywski, młynarz z powołania, mówiąc zaś stylem światowym: właściciel młyna parowego.

Antosia pomyślała sobie błyskawicznie:—Co on tyle ze mną gada! i nie czekając dłużej a wskazawszy mu tylko ręką miejsce, aby zasiadł, wybiegła do matki.

Matka, zanim się pojawiła w pokoju, w którym znalazł się p. Kajetan wypytała się starannie Antosi, co on za jeden, jak wygląda, czego chce od niej i t. d.? Aniela nie przerywała sobie czytania.

Pan Kajetan, ujrzawszy nareszcie przed sobą wdowę po ś. p. swoim professorze, ukłonił się głęboko i rzekł:

— Zadziwi panią dobrodziejkę moja śmiałość w przyjściu tu samemu bez niczyjego pośrednictwa, ale jako człowiek niemający dużo czasu do stracenia, a dawno obiecujący sobie krok ten uczynić....

Tu zatknął się trochę, bo w kłamstwie nie był wprawny.

— Zdecydowałem się nareszcie. Nazywam się Kajetan Pokrzywski, a byłem przez długi czas uczniem ś. p. męża pani dobrodziejki.

Tu zdawało mu się, że posłyszał szmer za drzwiami—czyżby Antosia podsłuchiwała?

— Proszę pana usiąść i w czem mogę być panu pożyteczną?

— Jest to bagatelka, śmieszność może z mojej strony — odrzekł, siadając i patrząc bystro na drzwi—zwłaszcza z tego powodu, że przyczynię trudu pani dobrodziejce.

— Owszem, proszę, jeżeli w czem mogę....

— Powiem krótko. — Pożyczyłem niegdyś piękne i rzadkie wydanie „Tacyta“ ś. p. pani mężowi.

Skrzywiła się p. Bolewska.

— Była to dla mnie droga pamiątka, dla pani dobrodziejki dziś zapewne bezużyteczna; gdybym więc mógł poprosić o jej wyszukanie....

— Przyznam się panu, że rzecz ta dla mnie dosyć trudna, nie dlatego iżby co z książek po ś. p. mężu moim zaginęło, ale, że ja nie znając się na tem, nie wiem nawet, czy dotychczas istnieje ta... jak ją pan dobrodziej nazwał?

W tej chwili jednak otwarły się drzwi i weszła Antosia. Pan Kajetan nie mógł ukryć domyślnego uśmiechu, matka zaś, ujrzawszy ją, zawołała nagle:

— A, doskonałeś zrobiła, żeś przyszła, bo ty chyba jedna wyratujesz mnie z kłopotu. Trzeba panu wiedzieć, że córka ta oto moja, pilnuje zawsze porządku w bibliotece ojca, a kto wie nawet czy nie zna na pamięć tytułów.

— Jak się nazywa książka, której pan potrzebujesz? — spytała Antosia, zapominając, że poprzedniej rozmowy wysłuchała za drzwiami.

— Chodzi mi o dzieło „Tacyta“.

— Jest, jest, wiem nawet na której półce; czy panu potrzeba zaraz?

— Bynajmniej, a ponieważ teraz mam interessa w mieście, więc, jeżeli państwo pozwolą zrobić sobie subjekcyą po raz drugi....

— Owszem owszem, bardzo prosimy — odrzekła matka, nabierając jakiegoś zaufania do fizionomii p. Kajetana.

Pan Kajetan już wziął za kapelusz, obawiając się, ażeby uprzejma Antosia nie wyszukała książki natychmiast, w czem się może mylił. Powiedziawszy kilka jeszcze komplimentów, śpiesznie wyszedł.

Matka, potrząsnąwszy głową, odezwała się do Antosi:

— Jakoś mi się to nie zdaje. Cóż ty myślisz, Antosiu?

— O czem proszę mamy?

— O tem, że on tu przyszedł pod pretextem jakiegoś szpargału?

— Albo ja wiem.

— Z pewnością widział gdzieś Anielkę i.... tylko co on za jeden?

— Właściciel młyna parowego.

— I ukształcony, zdaje się, człowiek.

— Z pewnością—powiedziała Antosia.

— Dałby Bóg, żeby to dla Anielci!.... powtórzyła zadumana matka.

Antosia nawet jej przez myśl nie przeszła.

Kiedy się zjawił z drugą wizytą, przyjęła go matka wraz z Anielą. Rozmowa nawiązała się szybko, a toczyła się żywo i poufnie; niepokoiła tylko p. Kajetana nieobecność Antosi. Gdy nareszcie dotknął celu, dla którego tu przyszedł, matka podała mu leżącą na stole książkę. Drgnął, widząc nagle obaloną całą swą dyplomacyą. Omylił się jednak, bo na odchodnem zaprosiła go serdecznie pani domu na częstsze u nich bywanie. Przyjął z wdzięcznością, mówiąc nawiasowo, że właśnie teraz musi pilnować jednego processu, więc zabawi z tego powodu dłużej w Krakowie.

W ten sposób rozpoczęły się wizyty pana Kajetana; zaznaczyć jednak trzeba, że był już po raz szósty, a Antosi nie widział ani razu.

Czyżby filuterna dziewczyna umyślnie chciała go podrażnić?

Aniela zaczęła się już oswajać z jego towarzystwem, a nauczona doświadczeniem, pilnowała lepiej słów swoich i postępowania. Matka też, wywiedziawszy się z boku o zamożności p. Kajetana, nabrała tym razem otuchy. Zwróciła nawet uwagę Anieli, że obeszło się bez pana radcy bo widocznie młodzieniec z własnego popędu pragnął zawrzeć z niemi bliższą znajomość. Pan Kajetan zaś dał się lubić. Szczery, otwarty, co w sercu to i na języku, przytem wesoły z natury i chcący się koniecznie przypodobać, ujął matkę odrazu za serce, a Anielę zaczął... interessować.

Atoli przy szóstej wizycie widocznie sposępniał i, nie mogąc już wytrzymać, a zarazem chcąc raz dowiedzieć się przyczyny nieobecności Antosi, zapytał się znienacka Anieli:

— Dlaczego to nie miałem dotąd przyjemności podziękować młodszej pani siostrzyczce za wyszukanie mi książki?

— Siostra moja to sobie taki dziczek, uciekający z pokoju, ile razy goście przychodzą.

— Czyż tak nie lubi towarzystwa?

— Ona jeszcze sama nie wie, co lubi a czego nie lubi; tak sobie fantazya dziewczęca.

— Tak, tak — rzekła matka z uśmiechem — Antosia ma swoje fantazye, ale i swoję wolę, której nie sprzeciwiamy się, skoro jej z tem dobrze.

Pan Kajetan znów sposępniał i rozmowa nie kleiła się jakoś tym razem. Kiedy jednak przyszedł w kilka dni, zastał Antosię zajętą właśnie nastawianiem lampy, podczas gdy Aniela brzdąkała na fortepianie.

Nie witając się z Anielą, zastąpił odrazu drogę Antosi, mówiąc:

— Nareszcie mam sposobność podziękować pani za...

— Ah, taka bagatelka —przerwała mu, cofając się ku drzwiom; ale mężny p. Kajetan nie ustępował z placu.

— Muszę chyba uważać to sobie za dowód niełaski, że pani widocznie ucieka, ilekroć mam przyjemność przyjść tu w odwiedziny.

— Ależ broń Boże!

— I teraz nawet jeszczem nie skończył tego, com chciał dawno wypowiedzieć, a już pani...

— Bo ja rządzę tu gospodarstwem...

— Wiem o tem! — odparł, śmiejąc się, bo przypomniał sobie dzienniczek.

— Zkąd pan wie o tem? — odrzekła z pewnem podejrzeniem.

— Słyszałem o pani...

Aniela grać przestała, zaintrygowana tą natarczywością p. Kajetana.

— Od nas słyszał pan — rzekła — a także i o twoich fantazyach, o uciekaniu od gości...

— A, nieładnie Anielciu, oskarżać własną siostrę!

— To zostań z nami dzisiaj i dowiedź, że tak nie jest.

— I owszem, zaraz powrócę, tylko uprzedzę mamę i przygotuję wszystko do herbaty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Homo homini lupus! Sąd kryminalny w Falmouth w Anglii.—Rozbitki statku „Minionetta“.—Człowiek cywilizowany wobec śmierci głodowej — Zeznanie kapitana Dudley'a.—Straszliwe szczegóły. — Kobiety i piśmiennictwo z ostatniej doby.— *La Patrie Hongroise* pani Adam-Lamber. — Zdanie o niej znakomitej Węgierki i własne moje wrażenia. — Pogląd autorki na rzeczy translejtańskie.— Osobiste jej uczucia. — Cygańska czarda i autorka w pląsach. — Naśladownictwo Daudet'a. — Klucz do otwierania niektórych anonymów.— Kilka ustępów z książki.

(Dokończenie).

Kogóż lepiej posłuchać po przeczytaniu tej książki, jeżeli nie Węgierki zacnej, rozumnej i serdecznie kochającej ojczyznę swoję? Któż lepiej zrozumie, co w tej książce jest pięknego, dobrego, jeśli nie taka Madiarka? Węgier, mężczyzna, politykujący lub wojujący, pochyliłby się może zanadto w jednę lub drugą stronę; kobieta postawiona nazewnątrz politycznego rądla, zamknięta w rodzinnem kółku, ma serce i rozum otwarty na wszystkie wrażenia, które, oczyszczone w tej atmosferze domowej, wychodzą jaśniejsze i lepsze.

Sprawdziłem to *de visu* wczoraj.

Tutaj ta książka narobiła wiele hałasu, w tych dziennikach właśnie, które były przecież, jak dotąd, z niezmierną zawsze adoracyą dla dyrektorki *La Nouvelle Revue*. Tym razem demokratyczna energia, jakby poczuła uroczą woń najlepszych kwiatów arystokracyi, zeszła ze zwyczajnej swej drogi i zboczyła na Pola Elizejskie uczucia i myśli— i bracia krzyknęli zaraz w niebogłosy: „Gore!“

Moja Węgierka osądziła to inaczej, bo w tej książce, napisanej widocznie pod wpływem kilku znakomitych ludzi, Węgrów rodzimych, takich, jak: *Pulszky*, *Jokay*, *Paszendy* itd., którzy przyjęli i ugościli w swojej ojczyźnie, podróżującą Francuzkę, moja Węgierka, powiadam, znalazła odbite, jakby w źwierciedle, prawdziwe uczucia i wyobrażenia, i każdego z tych ludzi, tak różnych w swoich dążnościach, i każdego stronnictwa, do którego należą, ale w gruncie i to, co jest prawdą, —wyobrażenie samej ojczyzny.

Nie trzeba sądzić aby książka pani Adamowej była głębokiem i wystudyowanem dziełem; nie ma ona do tego żadnej pretensyi, a pobyt kilkunastodniowy w Buda-Peszcie—i na Węgrzech nie mógł cudzoziemce, Francuzce, dać takiego jasnowidzenia, aby mogła rzecz wszelką przeniknąć do głębi. Możnaby tu za dewizę położyć: „Jak cię widzą, tak cię piszą! Owóż pani Adamowa w tak pobieżnej podróży widziała to tylko, co jej chcieli pokazać rozumni i zacni przyjaciele czyli, że widziała więcej tego, co jest nazewnątrz, niźli tego, co jest w głębi. Nie trzeba oskarżać Węgrów. Jest to uczucie patryotyzmu, bardzo naturalne i łatwe do zrozumienia! I mybyśmy na ich miejscu nie postąpili inaczej, pamiętając na to, że zły to ptak, co swe gniazdo kala—szczególnie, gdy przyjmuje obcego gościa.

Moja luba Madiarka prawie z uniesieniem chwali tę stronę książki, w której pani Adamowa występuje przeciwko Austryi, przeciw urzędowemu dualizmowi, i przeciw p. Tiszy i jego ministeryum. My to rozumiemy dobrze—my; tutaj tego nie zrozumiano wcale. Bo oni tu wierzą, iż wielkie szczupaki małych kiełbików zjedzą z kretesem. Niechęć p. Adamowej do opportunizmu węgierskiego Tiszy tłómaczą sobie tym wstrętem, jaki w niej budzi także opportunizm francuzki. Może to być; ale to, co ona powiada o Tiszy i o jego polityce w Węgrzech—jest to prawda zabarwiona tylko może olejkiem Paszendiego i Pulskiego.

Dla dawnych przyjaciół paryzkich pani Adamowej najbardziej zadziwiającem było to przekonanie autorki, wypowiedziane bez ogródki, że nie koniec na tem, iż nowe pokłady zabrały miejsca, na których zaspały się stare. Rewolucya—powiada pani Julietta—stoi zawsze i wiecznie otworem; a ponieważ demokracya mieszczańska zawsze i wszędzie na Węgrzech czy we Francyi, spycha w przepaść ostatecznego bankructwa wzniosłe i wielkie pomysły Rewolucyi 1789 r: niech więc i ona idzie spać z kolei. Miejsce jej zastąpią ci, których potężne zastępy idą pod wodzą takich magnatów, jak... powiedzmy Apponyi...

Jak wiadomo, hr. Albert Apponyi jest to przewódca zachowawczego stronnictwa na Węgrzech; zadaniem jego i jego przyjaciół jest spełnienie wielkiego programmatu społecznego naszych czasów, zapomocą arystokracyi, rozumnej, dzielnej, kochającej kraj swój i posługującej się wszelkiemi środkami bogactwa, rozumu i wziętości, na których zbywa demokracyi... w Węgrzech—a pani Adamowa dodaje złośliwie—i na całym świecie...

Owóż Apponyi jest to typ pięknego, gładkiego, i wysoko ukształconego pana węgierskiego. Świetnością i uprzejmością obejścia zachwycił on podróżującą Francuzkę; wypłaciła się mu też sowicie i postać młodego przewódcy zachowawczego stronnictwa w Węgrzech wybitnie a jasno maluje się na kartach nowej książki pani Adamowej.

Widocznie, podróżująca Egerya marzyła inne zalety i inne wdzięki tej Rzeczypospolitej, która tak ją gwałtownie porwała niegdyś, na drodze młodego życia. Rzeczpospolita, taka, jaką ją widzi dziś pani Adamowa, nie ma w sobie żadnego czaru, żadnego złudzenia. Jest to walka, w której się zużywają wszystkie, najlepsze siły narodu, ale najczęściej walka o interes osobisty, o osobistą przysługę. Demagogiczne warcholstwo wyuzdane na wszystko: oto ideał dzisiejszych zapasów. Książka od początku do końca oddycha wstrętem autorki, do tego stanu rzeczy, a ztąd jej prawie liryczny zachwyt dla Węgrów!

Książka ta nie jest jedynie zbiorem wrażeń i spostrzeżeń z podróży; chociaż nie braknie tu opisów miejsc i wypadków, zręcznie schwyconych, i oddanych z talentem. Ale obok tego i przedewszystkiem, jest to opis, że tak powiem, krytyczny i filozoficzny kraju, który otwiera naoścież swe wrota na przyjęcie miłej autorki. Zapewne, większa część tych materyałów, jak naprzykład, wszystko, co się tyczy historyi Węgier,—była przygotowana i podana autorce przez ludzi takich, jak Pulszky, Jokay. Ale umieć sobie przyswoić te materyały, wyciągnąć i wypić z nich najlepszą, najwdzięczniejszą cząstkę: i to już nie mała zasługa pisarza.

Nie mogę tu wchodzić w rozbiór szczegółowy tej książki, bo trzebaby wiele przytaczać i przepisywać. Pani Adamowa na Węgrzech spotkała się z wielu a wielu ludźmi, ze wszystkiem, co jest intelligentne, co stoi na widowni narodowej chwały; nie opuściła nikogo. Bardzo ciekawe jest spotkanie się jej i rozmowa ze starym Kossuthem. Po tej demokratycznej komitywie przygląda się pani Adamowa ulicy, wchodzi do domu mieszczańskiego i do chaty chłopskiej. Chata pociąga ją swoją nowością, prostotą, trochę zdziczałą formą. Na *ultimum vale* dajmy tu głos samej autorce i posłuchajmy co nam prawi Francuzka o węgierskich czardach, w które się puściła odważnie:

„Po sutym bankiecie nastąpił bal. Zobaczę więc nakoniec, jak się to tańcują owe sławne czardy. Z niecierpliwością wyglądałam tej chwili. Z pierwszym dźwiękiem, po pierwszych obrotach tancerzy, poznaję z pewnego tętna, które mi bije w skroniach, gdy tańcuję walca, poznaję zaraz, że się chyba rozmiłuję namiętnie w czardach. Nieskończona rozmaitość panuje w sposobie tańczenia i w metodzie, w jakiej się rozwijają i składają figury tego tańca. Sam tylko spadek naglący, przyśpieszony, sprowadza to wszystko do jednej całości.

„Dreptanie tancerzy czardy przypomina wybornie odgłos pułku huzarskiego w marszu. Pary tańczące są tuż tuż przy cygańskiej orkiestrze; posuwają się ku sobie i ustępują, ale na małej przestrzeni. Tancerz naprzeciw swej tancerki stoi i nie opuszcza jej ani na chwilę, czeka na to, aby się wokoło niej wykręcić. Często, jak ptak drapieżny do lotu, tak on wznosi do góry ramiona, ponad jej głową, i kręci się, póki znowu gołębicy nie chwyci w swe szpony.

„Czasami znowu oddaje pokłon jakiejś niewidzialnej istocie, jakby składając jej wdzięczność, za wyświadczaną łaskę; poczem natychmiast wyciąga ramiona i chwyta w nie kibić swojej tancerki. Na wdzięczne ruchy tancerek, które się zbliżają do mężczyzn lub oddalają od nich, tancerze odpowiadają, bijąc hołubce, lub podkówkami dzwoniąc.

„Czarda trwa czasem dwie godziny nawet, i ani tancerze, ani cyganie grający nie zatrzymują się ani na chwilę. Otaczający dokoła widzowie, pocwani, upojeni jego widokiem, wtórują mu często dzikiemi okrzyki, które każdy radby powtarzać i które przyprowadzają do szaleństwa prawie.

„A gdybyśmy też, i my spróbowali?—pyta mnie baron Podmaniczky.

„Jakże pan chcesz, abym ja potrafiła tańczyć waszą czardę?"

Aż on zaczyna się wywijać przedemną. Słyszę, wzruszona, szatański śpiew muzyki. Zewsząd wzrastają okrzyki: puszczam się walca, a wszystkim się zdaje, że ja tańczę czardę!"

Taką jest ta książka w swojej całości: przedewszystkiem zajmująca, ponętna, ale nie uderzająca ani dokładnością spostrzeżeń i wiadomości, ani powagą poglądu. Główną jej właściwością jest odrębny sposób zapatrywania się na rzeczy i na ludzi, dotąd autorce nieznanych; a że wypowiada ona myśl swoję śmiało i bez ogródki, ma to więc charakter niezwykły. My znamy Węgry i wiemy, jak i co się tam dzieje; autorka domyśla się czasem rzeczy niebywałych. W kraju, gdzie jeszcze często się spotkasz z takim magnatem, który ci bryzgnie w oczy, jak ów arcy-biskup Prymas Bathyany bryzgnął, gdy ktoś jemu, ciągnionemu sześciu końmi w złoconej karecie, zarzucał, że nie tak przystało jeździć naśladowcy i wikaryuszowi Chrystusa:

— Ej! *Barambatyjam*, mój bracie; Chrystus był synem ubogiego cieśli, a ja jestem graf Bathyany i magnat węgierski!"

Poglądy i sądy autorki, dorywcze i niespodziewane, zajmują wdziękiem, z jakim są wypowiadane. Dla nas i dla Węgrów ta książka będzie ponętniejszą nawet, niźli dla Francuzów, którzy, starym swoim zwyczajem tyle dbają o to, co się dzieje za granicami Francyi, ile pies o piątą nogę.

γ

Kronika działalności kobiecej.

— P. Rotwandowa, żona adwokata warszawskiego, urządziła dobroczynnie kosztem i staraniem swoim bezpłatne obiady dla robotników, wydawane w lokalu fabryki asfaltu na Solcu Nr. 46, którego użyczył na ten cel zacny p. Józef Sporny, inżynier. Siostry Miłosierdzia z Instytutu Ś-go Kazimierza na Tamce przyjęły na siebie zarząd nad wydawaniem obiadów i udzielaniem kwalifikacyi na takowe. Obiady składają się z zupy mięsnej z jarzynami i kaszą, oraz mięsa i chleba i wydawane są o godzinie południowej.

— P. Natansonowa urządza podobne obiady bezpłatne pod dozorem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Trwać one mają przez całą zimę. Dobry przykład tych zacnych pań, którym niech Bóg błogosławi znajdzie może więcej naśladowczyń.

— Własne sklepy na tegorocznym bazarze przedświątecznym mieć będą panie: hr. Róża Krasińska, hr. Wincentowa Walewska, hr. Xawerowa Branicka, hr. Konstantowa Przezdziecka, Laska i Milicerowa.

— W Piotrkowie powstała dobroczynna instytucya *Taniej Kuchni*. Komitet tworzą: trzej panowie i trzy panie: Kleszczewska, Mianowska i Libicka. Pań dyżurnych przyzwano 30, tak, że raz jeden na miesiąc potrzebuje każda z nich poświęcić kilka godzin swego czasu temu miłosiernemu zajęciu, i za taką cenę, niezbyt wielkiej ofiary, spełnić one mogą uczynek dobry, obywatelską zasługę im jednający, i życzyć sobie potrzeba, aby wytrwały, aby nie była to, jak gdzieindziej u nas, chwila dobrej chęci, która próby nie wytrzyma, gdy dołożyć przyjdzie coś trudu, coś pracy poświęconej. Panie dyżurne zostały upoważnione do zbierania składek, bo nowa instytucya jest bardzo niezamożna; że przecież miasto nie posiada żadnego stowarzyszenia dobroczynności publicznej, można mieć nadzieję, że ofiary się znajdą. W zarządzie sprzedawane będą marki dwu-cztero-i dziesięcio-groszowe, bo prócz obiadów całkowitych wydawane będą dla najbiedniejszych porcye zupy lub jarzyny z chlebem. Stały wewnętrzny zarząd powierzony został p. Krasnobędzkiej. Lokal, według tego, co pisze *Tydzień Piotrkowski*, jest należycie obszerny i potrzebie odpowiedni.

— W korrespondencyi z Grodna, pisanej do *Kraju*, mieści się taki ustęp smutny: „Troskliwe zajęcie się dotkniętymi nieszczęściem, przygarnięcie dziatwy pozbawionej przy zbliżającej się zimie strzechy, ciepłego odzienia i pokarmu, niesienie pomocy młodzieży, wydalanej z zakładów naukowych dla braku środków na opłacenie wpisu: były to zadania, przed któremi nie cofały się dawniejsze nasze niewiasty, jak Teofila Sobieska, Anna z Lubomirskich Chodkiewiczowa, z Sapiehów księżna Jabłonowska, które nietylko pisały dzieła o sposobie uszczęśliwiania włościan, ale osobistą pracą w dobrach swoich usiłowały dać dobry przykład innym. Kierując się zacną i świętą miłością bliźniego, zakładały po wsiach i miastach szkoły, wyposażały je szpitalami i domami schronienia dla starców i kalek. O takich czci i pamięci godnych niewiastach nie słychać u nas wcale, przynajmniej w naszych stronach, posiadających stada całe (!) pań możnych i utytułowanych." Tradycya nie znajduje naśladownictwa... pisze dalej korrespondent, wymawiając kobietom stron tamtych, że obierają łatwiejszą, dogodniejszą drogę dobroczynności takiej, która się na datku pieniężnym ogranicza, czyniąc w ten sposób zadość głosowi opinii publicznej. My dodamy, że może i głosowi sumienia, choć ono właśnie za inną: wyższą, miłośniejszą, szczerzej obywatelską dobroczynnością upominać się powinno u cór tamtych matek, które korrespondent wymienił, jako piękne wzory z przeszłości.

— Przełożona Stowarzyszenia Nauczycielek w Krakowie, p. Zubrzycka, zapragnęła za pośrednictwem naszego pisma złożyć podziękowanie p. Ant. Marfiewiczowi za dar, na rzecz Stowarzyszenia uczyniony: 1,000 reńskich, z których połowa, 500 zł. reń., już stowarzyszeniu wręczoną została. Przy wyrazach dziękczynienia swego pani ta pisze:—„We wspaniałomyślnej tej ofierze widzimy, zapewne nie bez słuszności, uznanie naszej cichej, ale pożytecznej pracy, dążącej do rozwoju stowarzyszenia, które mieć powinno jedno z pierwszych miejsc w sercach ludzkich; bierze ono bowiem w opiekę osoby, które całe swe życie poświęcają mozolnej pracy wychowywania i kształcenia przyszłych pokoleń, niemających dotąd u nas żadnej rękojmi, że ich niedołężna starość wolną będzie od trosk o chleb powszedni. Ale nadzieja w Bogu, że ogólne uznanie (dla stowarzyszenia) przyjdzie, że staniemy w zapisach dobroczynnych na równi z innemi instytucyami; a tymczasem tobie, czcigodny panie, skła-

damy starodawne nasze: Bóg zapłać! za czyn twój, który oby znalazł naśladowców, a dla nas posłużył za zachętę do dalszej cichej, skrzętnej pracy."—Pismo nasze jednoczy się z tem życzeniem, bo w każdej cywilizowanej, a zasługę nauczycielską, pracę, trud nauczycielski ceniącej społeczności godzi się, aby był odłożony, nie dobroczynny już, ale obowiązkowy grosz na tak dobrze zasłużony chleb emerytów pracy.

— Pani Scheiblerowa z Łodzi nadesłała dla Warszawskiego Schronienia Nauczycielek dwie sztuki perkalu i sztukę kretonu; P. P. Hille i Ditrich—trzy sztuki płótna.

—P. Aniela Nowaczyńska Dr. okulistyki, przybyła do Warszawy z zamiarem osiedlenia się tu i praktykowania.

—Dobroczynny zakład Berliński dla dziewcząt, które się zawodowi służby domowej oddają, „Amelien-Haus", istniejący dotąd na Kurfürstenstrasse Nr. 21/22, zbudował sobie nowe pomieszczenie na Nollendorfplatz. Zakład postanowił przyjmować na naukę dziewczęta i kobiety za opłatą 15 marek miesięcznie, co znaczy 1 zł. dziennie; oraz przybywającym za służbą do Berlina dawać opiekę i schronienie czasowe za bardzo umiarkowaną cenę. Zakład ten istnieje już lat dwanaście i uważać go należy za niezmiernie pożyteczną i w wielkiem mieście bardzo potrzebną instytucyą dobroczynną. Uczennice otrzymują odpowiednie do obranego zawodu wykształcenie kucharek lub pokojówek, przyczem w szkole robót ręcznych uczą się szyć, cerować i t. d. W roku bieżącym ma zakład takich uczennic 60; przez ostatnie lat cztery miał ich 357, przebywających tam od sześciu miesięcy do roku. Ale najgłówniejszym, a nawet właściwem zadaniem zakładu jest ów dobroczynny przytułek dawany młodym i niedoświadczonym dziewczętom i kobietom, które do Berlina przybywają, nie mając tam żadnych stosunków pewnych, oraz możliwie najtańsze ich utrzymanie, zapewnione aż do chwili znalezienia sobie miejsca, w czem zakład pośredniczy między nowoprzybyłą a osobami sług poszukującemi. W roku zeszłym takich, czasowo tam przebywających, dziewcząt i kobiet mieścił zakład 680; obecnie rozszerzono przytułek o 30 łóżek. Zapomocą zakładu otrzymało zpomiędzy nich miejsca 223, reszta albo pozostała tam dla nauki, albo za danem przez zakład przewodnictwem udała się do znajomych sobie osób. Pań poszukujących w sług zakładzie, było 1585.

Już lat temu kilka *Kronika* nasza podała wiadomość o zakładzie i miejscu jego pomieszczenia, gdyż dyrekcya, zapewne przez wzgląd na W. Ks. Poznańskie, oraz prowincye Prus Zachodnich i Wschodnich, zgłosiła się do naszego pisma z prośbą o ogłoszenie takie, co ze zmianą zamieszkania powtórzyła obecnie. Chęć poczciwa ratowania biednych dziewcząt, któreby w wielkiem, nieznanem sobie mieście mogły wpaść w nieszczęście, skłania zakład do troskliwości takiej i ogłoszenia o zakładzie rozlepiają się po poblizkich Berlinowi stacyach dróg żelaznych i nawet w wagonach. Nowy budynek przy Nollendorfplatz jest zbudowany z czerwonego kamienia i kosztuje 251,000 marek. Przełożoną jest A. Sahrland. Poświęcenie odbyło się bardzo uroczyście, przy wspaniałym hymnie: „Pan jest pasterzem moim".

— Pisma niemieckie podały wiadomość o przyrządzie do ręcznego tkactwa, wynalezionym przez Eugenią Wernicke. Otóż z Prus Wschodnich odezwał się głos protestu, że podobny przyrząd jest między ludnością Prus Wschodnich od bardzodawna znany i niegdyś używany powszechnie, jakkolwiek dziś zaczyna on nieco wychodzić z użycia, szczególniej tam, gdzie ludność niemiecka w większej liczbie między litewską się wciska i zwyczaje dawne wypiera. Ale nawet między tą częścią ludności, która się niemczyć zaczyna, owe ręczne tkactwo jest jeszcze prawie w ogólnem użyciu i Litwinki wyrabiają w ten sposób pasy znacznej nawet szerokości, bardzo kunsztownie tkane w kwiaty. Widząc taki pas różnowzory, odznaczający się oryginalnym smakiem artystycznym, podziwiać go trzeba, gdy się wie jak prostem jest narzędzie, które do wyrobienia go służyło. Wogóle Litwinki mają być bardzo zręczne w sztuce Arachny, tak przędzenie jak i tkanie w krosnach dochodzi u nichdo pewnego rodzaju mistrzowstwa. Do dziś dnia jest to u Litwinów pruskich zwyczajem ogólnym, że zmówiona dziewczyna obdarza narzeczonego jej młodzieńca, a nawet jego krewnych, podarkiem takiego pasa: („Joastas"), który sama utkała. Czem piękniejszy, tem chwała jej wyższa; może przecież najmocniej kochająca myli się tak, jak Aldona, i listki maluje różowo, a kwiatek zielonym czyni.

— Znana angielska filantropka, Lady Burdett Coutts, wzruszona szlachetnem współczuciem, które w każdej uczciwej piersi angielskiej odzywać się powinno względem nędzy Ludu Irlandzkiego, jako poczucie się do zadosyćuczynienia za winy ojców swoich, zwróciła miłosierną działalność na ludność skalistych i dziko-nieurodzajnych wybrzeży Zachodniej Irlandyi, dostarczając osiadłym tam rodzinom rybackim środków zaopatrzenia się w dobre łodzie i nowszego wynalazku przybory do rybołówstwa, ratując przez to, w dosłownem znaczeniu tego słowa, setki ludzi od śmierci głodowej, setki ludzi od zgonu na dnie morza, na które się puszczali w nędznych łupinach starych, przegniłych łodzi. Był to nawet, nie datek, nie darowizna, ale według jej zwyczaju przy dziełach miłosierdzia, pożyczka bezprocentowa w bardzo małych ratach wypłacana. To też odbyta tej jesieni podróż jej wzdłuż wybrzeży i po drobnych wysepkach rozsianych w ich pobliżu była jednym ciągiem owacyi i dziękczynienia, składanego jej z tym gorącym zapałem, ktory lud galijski ma w sobie i którym wybucha, gdy w sercu zawrze czy miłość, czy nienawiść.

— Francuzkie szpitale mieszczą w charakterze lekarzy miejscowych studentów medycyny z najwyższych już kursów, którzy pod kierunkiem doktorów przychodzących prowadzą kuracye chorych i noszą nazwę „internów". Otóż kobiety studyujące medycynę i które otrzymały przystęp do szpitali w charakterze externów, zażądały posady internów w szpitalach kobiecych. Rada Miejska oraz Rada „de Surveillance et Assistance Publique" zgodziła się na to, ale zarządy szpitali i paryzka rada lekarska odrzuciła żądanie. Pismo lekarskie: „Progrès Médical", nieprzychylne medycznym studyom kobiecym i występujące przeciw nim, napisało jednak, że skoro raz kobieta została dopuszczona na wykłady medycyny, skoro następnie składa examin uzdolnienia i może otrzymać doktorat, a co więcej, gdy dopuszczona do externatu w szpitalach, wywiązuje się tam z zadania swego jak należy, zatem w imię jakiej zasady, może się teraz spotkać z odmową?

— Paryzka kompania telefoniczna zatrudnia 125 kobiet, z pensyą miesięczną 80 do 96 franków oraz z bezpłatnem śniadaniem na miejscu; przełożone pobierają 100 franków. Mogą to być przecież tylko panny lub wdowy w wieku od 18 do 25 lat.

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

skreślone oryginalnie przez

HELENĘ NEGRONI.

CZĘŚĆ DRUGA

(LA PLATA).

(Dalszy ciąg).

V.

Ludność Rzeczypospolitej Argentyńskiej. — Indyanie.— Hypoteza Tschudiego. — Jedność pochodzenia.—Srogość Europejczyków.— Wdzięczność Garay'a. — Zepsucie się Indyan pod wpływem europejskim.—Testament officera wojsk Filipa II-go.— Araukanowie, ich język, poezya i wymowa. — „Wielkie Nogi".—Podróż p. Moreno po Patagonii.

Ludność zamieszkująca Rzeczpospolitą Argentyńską składa się z pierwotnych jej mieszkańców: Indyan prowincyi północnych, i z Patagonów; oraz z późniejszych Gauczów (Gaucho) Europejczyków.

Plemiona pierwotne, przez trzy wieki wytępiane i prześladowane, stanowią dotąd potęgę, której pokonać zupełnie nie zdołano. Parci przez nowo-rozwijający się żywioł europejski, zbliżają się ci Indyanie corazbardziej do podnóża Andów, a tak mało są znani, że nikt nawet w przypuszczeniu sił ich obliczyć nie potrafi. Z podobieństwa mowy, mniej lub więcej uzasadnionego, wnoszą, że powstali z jednego szczepu, wspólnego z Indyanami Północnymi. Istnieje też hypoteza, przez Tschudiego najsilniej popierana, że pierwotne ludy zachodniego pobrzeża Ameryki, zwłaszcza Peruwiańczycy, wyszli w zamierzchłej przeszłości z łona Azyi i to nie odrazu, ale w licznych wyprawach, w których nieszczęśliwe przygody morskie grały też ważną rolę. Raz puściwszy się na Ocean Spokojny awanturnicy azyatyccy płynęli już naoślep ku Wschodowi, a gdy ich wyspy Oceanii zatrzymać nie zdołały, opierali się aż o Południową Amerykę. Z takich najazdów i nawiedzeń lądu amerykańskiego powstać miały liczne plemiona, różniące się narzeczami więcej, niż fizycznemi własnościami. Pod mnogością narzeczy czuć zasadniczą jedność wspólnego niegdyś bytu. Prostszem jest przypuszczenie, że Indyanie amerykańscy wyszli z łona samej Ameryki, że są wytworem jej naturalnym, taksamo jak i reszta jestestw przyrodzonych. Jedność typu w obu częściach Ameryki jest uderzającą, a typ ten różni się od wszystkich innych. Indyanie w całej Ameryce są jedni i cisami. W rozmaitych miejscowościach rozwijając się pod wpływem odmiennych klimatów i różnej otaczającej ich natury, nabrali odrębnych cech charakteru, wszędzie jednak podobni są do siebie z łagodnością obyczajów i rzadkiej gościnności. Dopiero po ujarzmieniu zakipiała w nich wrząca siłu oporu, wywołana okrucieństwem zdobywców, a uczucia te zczasem zamieniły się w zawiść i chęć zemsty, posuniętej do aż dzikości.

Indyanie Południowej Ameryki, poprzestając na małem, mieszkając w ziemi żyznej i urodzajnej, zapewniającej im bez trudu i pracy mozolnej środki do zaspokojenia skromnych potrzeb, żyli swobodnie, wolni od trosk i codziennej walki o byt. Wpłynęło to na rozwinięcie się obyczajów łagodnych i uczuć ludzkoscią nacechowanych, a wyobraźnia ich, kołysana smętnym duchem, wiejącym ze stepów, nabrała zamiłowania do poezyi, legend i pojęć religijnych.

Od chwili pierwszego wylądowania Garay'a zaczyna się z nimi nieustanna walka, pełna okrucieństw, mająca za jedyny cel zupełne ich wytępienie. Nadzwyczaj gościnni, łatwowierni krajowcy przyjmują z największą serdecznością zgłodniałych rozbitków, rzuconych burzą na ich wybrzeże; ze szczupłych swych zasobów oddają im co tylko mogą; przez czternaście dni dostarczają żywności dla dwóch tysięcy nieznanych im cudzoziemców, a wówczas siły ich były tak przeważne, że z łatwością największą byliby pokonali tę garstkę ludzi: zamiast tego, przyjmują ich jak braci i dzielą się z niemi ostatnim kęsem chleba. Jakżeż odwdzięczają im się za to owi „Chrześcijanie?" Widząc, że zapasy zaczynają znikać, rozpoznawszy trochę okolicę, napadają zdradliwie na swoich dobroczyńców i bez litości, z wściekłością niepohamowaną, wytępiają czemprędzej, póki jeszcze tchu starczy, mieczem i ogniem każdego, kto im pod oczy wpadnie, ażeby mordem i krwią ustalić przewagę prawdziwej religii, oświaty i cywilizacyi nad pogaństwem, dzikością i ciemnotą. Od owej chwili przez trzy wieki cywilizacyjny przemysł wytępiania krajowców nie ustaje, wywołując dziki odwet i psując dobre wrodzone usposobienie tych spokojnych z natury, łagodnych narodów.

Zdradzeni w najświętszych swych uczuciach, obdarci z mienia, wyparci z siedzib, potępieni, zruinowani i wyśmiani, przez wdzięczność za jarzmo, które im na karki wtłaczano—mieli nakoniec wyprzeć się wiary w swych bogów. Cóż dziwnego, że w młodych tych niewyrobionych umysłach, mających naturalny instynkt do dobrego i nieznających złego, wyrodziła się pogarda

i nienawiść do ludzi o bladych twarzach, na których wszędzie, gdzie mogą, szukają odwetu. Dopiero wtedy, kiedy musieli się mścić podstępnie, nie mogąc się jawnie bronić, powstał u nich zwyczaj noszenia przy sobie czaszek skalpowanych nieprzyjaciół, jako trofeów wojennych.

Dziś plemiona te koczujące, nie mają piędzi ziemi, którąby mogły nazwać swoją i być jej pewnemi; zatraciły w sobie prawie zupełnie uczucia sprawiedliwości, któremi się dawniej odznaczały, stały się podejrzliwemi, chytremi i, żyjąc z dnia na dzień, grabią białych gdzietylko im się uda. Zatarły się w nich wszystkie popędy szlachetne, nastrój poetyczny, zamiłowanie do legend, cześć bogów; ni poganie, ni chrześcijanie, jednę tylko mają religią: zemstę.

Im bardziej zbliżamy się ku północy, do granic Brazylii i Boliwii, tem dziksze napotykają się plemiona. Terrytoryum Gran-Chaco najwięcej niemi zaludnione.

W jednej z książek historycznych, dotyczących przeszłości tego kraju, znalazłam testament naocznego świadka, który, jako officer wojska Jego Królewskiej Arcykatolickiej Mości Filipa II-go, uczestniczył we wszystkich zbrodniach popełnianych podczas podbijania kraju, a później pod wpływem sumienia, które mu wyrzucało niegodną rolę oprawcy, wynurzył królowi swój żal, w akcie ostatniej przedśmiertnej woli.

„Przemocą — powiada — i gwałtem zrobiliśmy niewolnikami ludzi wolnych. Biję się w piersi i przyznaję, że sam brałem udział w tych niegodziwych postępkach. Złym naszym przykładem doprowadziliśmy do nikczemności istoty pełne rozumu, tak mężczyzn, jak kobiety niezdolne przedtem do popełniania występków lub nadużyć. Skoro tylko spostrzegli, że między nami znajdowali się rabusie i ludzie, którzy sprowadzali z dobrej drogi żony i córki swoje, powzięli ku nam wielką pogardę i nasz zły przykład tak smutny wywarł wpływ na krajowców, że nieświadomość ich złego przemieniła się w zapomnienie dobrego. Na to smutne położenie trzeba środka zaradczego, a ten wskazać tylko może Wasza Królewska Mość."

Serce się kraje, gdy się czyta opisy nadużyć i okrucieństw popełnianych na Indyanach. Nie można się też dziwić, że trzy wieki podobnego postępowania wyrodziły nieubłaganą nienawiść, a pojedyncze zbrodnie, dziś popełniane, choć nas zgrozą przejmują, nie mogą jednak być porównane z temi, w których Indyanie bywali i są po części do dziś dnia ciągłemi ofiarami.

Plemiona te, prowadząc od czasu podboju życie koczujące, wszędzie ścigane i prześladowane, straciły wszelkie ślady dawnej cywilizacyi. Czytając dopiero sprawozdania świadków naocznych, przekonywamy się, że cywilizacya ta istniała, jeżeli nie takasama, jak my ją pojmujemy, to niemniej jednak rozwinięta, chociaż zastosowana do wieku i warunków, w jakich się wówczas objawiała.

Pizarro i inni dowódcy wypraw tak mało byli wykształceni, że nawet czytać nie umieli; jedynym ich celem było ujarzmienie plemion i zajęcie ich kraju i mienia; ogniem i mieczem wszystko niszcząc, względu na nic nie mieli i na myśl im nie przyszło zachowywać i strzedz pamiątki, mogące służyć kiedyś za wskazówki dawnej tu cywilizacyi: powoli też wszystko znikło i dziś ślady przeszłości z wielkim mozołem zbierać potrzeba. Jezuici, którzy w Terra de Missiones i w części południowej Brazylii i Paragwaju w XVII i XVIII wieku osiedli, uczyli ich uprawy roli, rzemiosł rozmaitych i łagodzili ich obyczaje, nawracając ich na wiarę chrześcijańską; ale temsamem niszczyli ich własną miejscową cywilizacyą. Ucząc się pieśni świętych i religii chrześcijańskiej, zapominali Indyanie o swoich bogach, baśniach i legendach, które stawały się bluźnierstwem w ustach nowo-nawróconych; a jedynem zabytkiem umysłowym, pozostałym po Jezuitach, są słowniki i grammatyki rozmaitych dyalektów Indyan.

Wielka rodzina narodów indyjskich zamieszkujących Południową Amerykę dzieli się na cztery główne plemiona: 1) ludy zpod Andów, które niegdyś wchodziły w skład państwa Inkasów, 2) Guaranowie, 3) Araukanowie, 4) grupa koczujących Indyan w północnych częściach Pamp.

Te cztery główne plemiona tak są znowu rozgałęzione na nieliczne drobne odrośle, że nikt nazw ich wszystkich nawet nie zna. Z tych niektóre zupełnie wyginęły, a inne nanowo się potworzyły, jak naprzykład Gauczów (Gaucho), o których później mówić będziemy.

Z plemion tych Araukanowie, którzy do dziś dnia stanowią samoistne państwo, najlepiej nam są znani. Zamieszkali na zachodniem wybrzeżu, wśród gór, w bogatej i bezpiecznej miejscowości, mając naturalnie utworzoną granicę, z jednej strony przez Ocean Spokojny, a z drugiej przez łańcuch nieprzebytych Andów, potrafili tak zabezpieczeni zachować swoję niezależność. Rządzi nimi kacyk, który zależny znowu jest od głównego kacyka plemion zamieszkałych w północnej Patagonii. Rozwijając się w otoczeniu natury dzikiej, ale wspaniale pięknej, wśród niebotycznych gór, lasów odwiecznych, przy huku Oceanu i w klimacie ostrym, nabrali oni usposobienia surowego, srogości i szorstkości w obyczajach. Wola nieugięta i wogóle obyczaje, charakter ich etnograficzny mniej łagodny, niż u innych plemion wspólnej rodziny. Język Araukanów pod wpływem czynników przyrodzonych nabrał mocy niepospolitej, a do malowania natury żywem słowem posiada bogate zasoby niezmiernie obrazowych wyrażeń. Ze wszystkich też dyalektów indyjskich język Araukanów ma być najpiękniejszym, najlepiej wyrobionym i daje się ująć w pewne prawidła grammatyczne. U nich też jedynie pozostały ślady dawnej cywilizacyi, poezyi, retoryki, mitologii i teogonii. Dziś jeszcze słyną z niepospolitego daru wymowy. Sprawy państwa rozstrzygają na ogólnych zebraniach. Każdy z kolei zabiera głos. Odbywają się te posiedzenia w spokoju, z wielką powagą; zwyczaj chce, ażeby każdy nowy mówca powtarzał ostatnie słowa swego poprzednika i podnosił rękę, jakgdyby żądał zezwolenia przeciwnika na prowadzenie dalszej dyskussyi. Pod wrażeniem wielkości przedmiotu traktowanego i w stosownem otoczeniu stają się ci dzicy, poniewierani przez Europejczyków Indyanie niepospolitymi mówcami.

Język araukański, bogaty i wyrobiony, wraz z oryginalną, a bujną tego ludu poezyą, zwrócił uwagę wielu sławnych filologów, a obecnie jest przedmiotem szczególnych studyów zasłużonego literata argentyńskiego, niejakiego Juana (Huana) Maria Gutierez, professora uniwersytetu w Buenos-Ayres, który się przedmiotowi temu już od kilku lat poświęca.

Drugim etnograficznym składnikiem ludności południowej części Rzeczypospolitej Argentyńskiej są Patagończycy. Zajmują oni przestrzeń zawartą pomiędzy rzeką Rio-Negro, Oceanami Atlantyckim i Spokojnym. Język ich, niepiękny, składa się z dźwięków, które byłoby trudno oddać jakiemibądź znakami alfabetu. Obyczaje mają łagodne, w pracy są cierpliwi i wytrwali. Zajmują się po części uprawą roli i do pewnego stopnia—handlem. Wyrabiają z piór strusich (aveztrus) i innych ptaków, piękne dywany, szale oryginalne z żółtej wełny (*guanaka*), której naturalnie mieniące się odcienie i rzadkiej miękkości wyrób czynią z tych szalów przedmiot w handlu bardzo poszukiwany. Szale takie bywają bardzo wysokiej ceny, dochodzą, stosownie do cienkości wyrobu, czasami do kilkuset franków, a żadna elegantka bez takiego szala obejść się nie może.

Nazwa Patagonów znaczy „wielkie nogi" Chcąc się zabezpieczyć od zimna ubierali się oni w futra i owijali niemi nogi, które nabierały wskutek tego tak ogromnych rozmiarów, że nadano im przydomek „wielkonogich", który zamienił się z czasem i w nazwę. W ogóle są oni barczyści i wysokiego wzrostu, a wiele osób ma przekonanie, że w kraju całym mieszkają tylko olbrzymy. Znajdywane skielety dawnych mieszkańców okazują, że niegdyś musieli tu zamieszkiwać ludzie o olbrzymich postaciach, ale dzisiejsze pokolenie nie przechodzi miary ludzi bardzo wysokiego wzrostu, często i u nas napotykanych, których jednak jeszcze do olbrzymów nie można zaliczać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wyszła z druku świeża praca, oddawna zapowiedziana, autorki **365** obiadów

pod tytułem:

PODARUNEK ŚLUBNY

kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego

Cena w ozdobnej oprawie Rs. 1 kop. 80

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

OSTATNI TOM

to jest IV-ty dzieła pod tytułem:

ROZRYWKI

DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEW. PRUSZAKOWĄ (DUCHIŃSKĄ)

Wyszedł z druku

Prenumeratorowie *Bluszczu* tom I-szy otrzymali w kwartale I-ym **bezpłatnie**;—cena każdego z następnych tomów w Warszawie kopiejek 50, z przesyłką kopiejek 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Silny duch.**

TREŚĆ. Książki dla młodzieży i dzieci, przez Maryą Ilnicką. — Kartka z pamiętnika poety, fantazya, przez Szczęsną, (dokończenie). — Głupia dziewczyna (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, (dalszy ciąg), przez Helenę Negroni.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 2-gi, przez W. Heimburg.—Przegląd mód. — 32 wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Ноября 1884 года.